

Malwina Mańczyńska
„Matka”

Nie pamiętam twarzy mojej matki. Ani jej głosu. Wydaje mi się, że miała ciemne włosy, rozpuszczone i poklejone przez wiatr. Pamiętam ich zapach - chociaż podobno to niemożliwe, tak ktoś kiedyś w telewizji mówił, jakiś doktor pewnie, że nie da się zapamiętać zapachu.

Ale ja pamiętam.

Garstka wspomnień.

..... Siedziałyśmy nad rzeką, woda szara była, i groźnie łypały kamyki, wyścielające jej koryto. Moja młodsza siostra ostrożnie stąpała po większych kamieniach, a ja znalazłam muszlę, i płukałam ją w lodowato zimnej wodzie. Mama siedziała niedaleko, i paliła papierosa. Pamiętam delikatną smugę dymu i jej przygarbione plecy.

Nie patrzyła na nas. Patrzyła na rzekę.

Chyba często nas zabierała w tamto miejsce – ustronną, kamienistą plażę, gdzie nikt nigdy nie przychodził. Może tylko mama знаła prowadzącą tam ścieżkę...? Biegła ona przez zagajnik, potem mijało się tory dawno nieczynnej wąskotorówki, i jeżyny, całe polany jeżyn! Ręce były od nich podrapane i niebieskie. Potem skręcało się w las, droga była ledwo widoczna, zarośnięta. A choinki po obydwu stronach bardzo gęste, tak gęste, że niektóre z nich były aż pomarańczowe z suchości, bo słońce już do nich nie dochodziło. Mama, która szła przodem, musiała schylać się, żeby przejść pomiędzy nisko zwieszonymi gałęziami. Ja i Aneta trzymałyśmy się za ręce, lękliwie spoglądając na boki, w ciemne chaszczce. Każdy szelest, każdy podejrzany trzask, czułam aż w głębi brzucha. Gałęzie sklepiały się nad nami, jak na wpół ażurowy dach, osypując się na włosy i za kołnierze. Mrużyłam oczy.

Las kończył się niespodziewanie, wysoką skarpą, zawaloną na wpół przegniłymi pniami. Trzeba było uważać, gdy się przez nie przechodziło, bo bardzo były śliskie, pokryte czymś obrzydliwym. Plaża wyłaniała się z mroku lasu, plaża szara od kamieni. Zawsze pusta. Potok miał silny nurt.

Po drugiej stronie, na wysokim brzegu, rosły drzewa, zsuwając się aż nad wodę, jakby spychając ją na bok silnymi korzeniami. Duże, o ciężkich gałęziach.

Mama zawsze siadała w tym samym miejscu: na wielkim głazie, do połowy zanurzonym w wodzie. Czasem bardziej wystawał, a czasem mniej. Czasem musiała po kolana brodzić, żeby do niego dojść. My z Anetą bawiłyśmy się kamieniami. Fajnie było rzucać je do wody, albo budować z nich tamy, dopóki dłonie nie zeszywniały. Echo niesło daleko nasz śmiech .

Nie pamiętam śmiechu mojej matki.

Chyba w ogóle najlepiej pamiętam jej dłonie. Miała długie, delikatne ręce o kruchych paznokciach, i wyraźnie odznaczonych kostkach. Jej palce miały żółtawe plamy, od nikotyny. Dużo paliła. Niedopałki zagrzebywała między kamieniami. Całe godziny

siedziała nad potokiem, nie mówiąc wcale, i prawie nie patrząc na nas. Tylko paliła papierosa za papierosem. Potem wstawiała ociężałe, i wtedy było wiadomo, że czas iść.

Chciałabym pamiętać jej oczy, usta, nos, czoło. Wiedzieć, jakiego koloru miała oczy, czy jej czoło było gładkie, czy miała zmarszczkę między brwiami... Nie mam nawet jednego jej zdjęcia, tata podobno podarł, gdy odeszła. Nagle, niespodziewanie zniknęła.

I już nigdy jej nie spotkałam .

Miałam wtedy pięć lat i dwa miesiące.

A tamta skorupa, która miała być muszlą, okazała się kawałkiem emalii, odprysniętej od jakiegoś garczka.

Wanda miała miękkie, pulchne dłonie i oczy jak narysowane. Serio. Gdy ją po raz pierwszy zobaczyłam, skojarzyła mi się z kotem Filemonem, tylko oczy miała niebieskie, nie zielone, ale tak samo jakby spływające z twarzy.

„Dziecko kochane... co za nieszczęście!” – powiedziała, załamując ręce, stając pośrodku naszej jasnej kuchni. Po czym szeroko rozpostarła ramiona.

Zesztywniałam, gdy po raz pierwszy mnie przytuliła. Sztywniałam tak pewnie przez pierwszy rok, odkąd się pojawiła. A potem była mi matką.

Wanda została drugą żoną mojego taty. Należała do tych kobiet, które nieustannie krzątają się po kuchni, nucąc coś pod nosem, zerkając co chwila, czy dzieci się grzecznie bawią.

Najszczęśliwsza była smażąc dżemy. To było, z tego co wiem, jej ulubione zajęcie, w które wkładała całe serce. Pamiętam ten słodki, rozkoszny zapach, unoszący się po całym domu, ściskający za brzuch i serce, i Wandę o mocno zaróżowionych policzkach, która ścierką przepędzała nas z kuchni. „Ani się ważcie, smarkacze! – krzyczała, gdy zakradałyśmy się z Anetą do wielkiego gara, pełnego pykającej, słodkiej masy, uzbrojone w łyżeczki, by posmakować chociaż odrobinę. A potem z piskiem uciekałyśmy z kuchni, wprost na podwórko, chowając się w cieniu starej jabłoni. Siedziałyśmy tam kilka godzin, obrażone, czasem popłakując, gdy Wanda zbyt mocno machnęła ścierką... Zawsze na zgodę wyносиła nam po kubeczku pełnym konfitur. Miała dla nas miękkie serce.

Gdy już byłam starsza, i na lekcji historii uczyłam się o kapłankach Westy, bogini domowego ogniska, zawsze widziałam Wandę, krzątającą się po kuchni.

Pamiętam, jak sama szyła mi sukienkę do Pierwszej Komunii Świętej, wykrajając ją na stole w dużym pokoju, a potem pedantycznie upinając ją na mnie, jak na manekinie. Ależ byłam nieszczęśliwa wtedy! Wszystkie koleżanki jechały z matkami do miasta, żeby w sklepie kupić gotowe sukienki z szeleszczących, sztucznych tiuli, wyszywanych koralikami bądź cekinami, podczas gdy ja miałam mieć sukienkę uszytą w domu, przez żonę mojego taty... Wtedy po raz pierwszy pokłóciłam się z Wandą, i wykrzyczałam jej w twarz , że nie jest moją matką, że bez niej byłoby nam tu lepiej. Już gdy wypowiadałam te słowa, gniewnym, zachrypłym od płaczu głosem, wiedziałam, że źle robie, i chciałam je połknąć z powrotem. Ale słów,

zupełnie jak mężczyzn – o czym miałam przekonać się dużo później, nie da się zawrócić.

„Nie jesteś moją matką, wynoś się! Wynocha, no słyszysz? Jesteś paskudna, paskudna...!” – krzyknęłam, i jakby czas się zatrzymał. Wanda pochyliła głowę, nic nie mówiąc.

Ojciec, który siedział przed telewizorem, odwrócił się i popatrzył na mnie. Jego twarz zdawała się taka mała, jakby skurczona. I nagle wstał, potrącając krzesło, i podszedł do mnie na ugiętych nogach, takim dziwnie długim krokiem.

Zamarłam. Stał przede mną, groźny, wielki, i jakby niedostępny. Dyszał ciężko, i patrzył, oczami granatowymi ze złości. Nagle podniósł mnie do góry, ściskając moje ramiona miękkie jak kłębki waty. Podniósł mnie na wysokość swoich strasznych, obcych w gniewie oczu. Nie miałam odwagi nawet mrugnąć. Czułam na twarzy jego oddech, cierpki od na wpół przetrawionej kawy. Potrząsnął mną, mocno. Bardzo mocno, raz, drugi, trzeci...

Głowa kiwała się na boki, w przód i w tył. Czułam, jak moje oczy drżą i kłopotczą, jak oczy tych lalek z ruchomymi powiekami, jakby zapadały się w głąb oczodołów.

„Nie pozwolę... nie pozwolę! Słyszysz? Nie pozwolę obrażać twojej MATKI! Słyszysz? Rozumiesz?!” – nawet nie krzyczał, tylko dyszał słowa podobne do tych. „Wanda jest twoją MATKĄ Wanda, i nikt inny! Zapamiętaj to sobie!” – postawił mnie na podłodze, zatoczyłam się na miękkich nogach, i oparłam o stół. „Masz do niej mówić mamó. Właśnie tak. Zrozumiałaś?”

„Tak...” Tak. Zrozumiałam wtedy.

I zawsze już mówiłam do Wandy mamó.

Bo przecież była moją matką.

W horoskopach zawsze podporządkowują znaki zodiaku czterem żywiołom: wodzie, ziemi, powietrzu i ogniu. Gdy o tym przeczytałam, jeszcze jako dziewczynka, byłam bardzo przejęta. Z czasem oczywiście zrozumiałam, że to tylko wymysły, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. No bo jak można uzależniać jakieś tam cechy człowieka od tego, w jakim miesiącu się urodził? Głupie to trochę, nie?

Lecz coś we mnie utkwilo, jakieś dziwne przekonanie, że ludzie podzieleni są na cztery grupy, przynależne do czterech sił natury. Ale nie ma to nic wspólnego z miesiącem ich urodzenia, lecz z charakterem, postępowaniem, sposobem bycia. Porównując ludzi do żywiołów na podstawie ich upodobań i cech, moja matka była wodą. Mama Wanda – ogniem. Albo raczej: mama była lodem i rzeką, chłoną, czasem zimną, czymś, czego nie da się utrzymać w dłoni, by tego nie zniszczyć. Nie odmienić bezpowrotnie.

Wanda o roziskrzonych oczach i ciepłych ramionach była jak przyjaźnie rozżarzony węgiel, ogrzewający przemarznięte stopy i dłonie. Ciepło i ogień. Cała roztańczona, z jasnymi włosami obciętymi do brody, niesfornie wijącymi się od deszczu. Całe życie chyba miała takie samo uczesanie, z przepaską, zagarniającą włosy do tyłu, by nie wpadały do oczu.

Przez całe lata o niej nie myślałam. O mojej matce, tej, jak to się mówi - biologicznej. Dopiero potem, gdy miałam naście lat, zaczęłam się zastanawiać - i nienawidzić jej. Zostawiła nas. Bez słowa, opuściła rodzinę, tak, jak nawet obcych ludzi opuścić nie wypada. Z jedną torbą, bez listu czy przepraszam na poduszce. Bez słowa i żalu. Opuściła swoją rodzinę. Opuściła *mnie*.

Nikt o tym nie wiedział, nikt, z poza mojej wsi. Oczywiście, w podstawówce w Smolniku, gdzie dojeżdżałam z Mikowa, szybko rozeszły się plotki: „To jest córka tej, wiesz, tej co uciekła”. Wszyscy o tym gadali. Ukradkowe spojrzenia i szepty, czasem pogardliwe uśmiechy, sztucznie współczujące twarze.

W liceum w Sanoku wszyscy za moją matkę uważali Wandę, a ja nigdy nie wyprowadzałam ich z błędu. Nie myślałam zresztą o niej inaczej, jak o matce, takiej prawdziwej. Laurki na Dzień Matki, szkolne akademie, wywiadówki – zawsze była. Pachnąca kremem Nivea, z rozjaśnioną dumnym uśmiechem twarzą, w kwiecistej sukience i wyglancowanych butach. Co rano z ważną miną wyprawiała mnie od szkoły, upewniając się, że spakowałam plecak jak należy. Pieczołowicie owijała własnoręcznie zrobione kanapki w papier śniadaniowy, i zaplatała moje długie włosy w cienkie warkocze. Potem, gdy dorastałam, z niepokojem czekała w kuchni na moje coraz późniejsze powroty do domu. Kryła uśmiech, gdy widziała, jak stroje się przed lustrem, czasem doradzała, w co powinnam się ubrać, i pożyczała mi swoje zielone, długie kolczyki. I uważnie obserwowała wszystkich chłopców, którzy pojawiali się u mego boku. Ale nic nie mówiła. Najbardziej matczyzna ze wszystkich – Moja Mama. Jakoś tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu, wspomnienie tamtej – ponoć prawdziwej, bledło.

A ż w końcu wszystko zapomniałam.

Stałam się córką Wandy. Wandy, o mocno niebieskich oczach. To ona ubłagała tatę, by pozwolił mi wyjechać do liceum, do Sanoka. On nie chciał się zgodzić. Chciał wysłać mnie do Gastronomika do Leska, do swojej siostry. Ale Wanda uważała, że jestem zdolna, że powinnam iść naprzód, zrobić maturę, może nawet kształcić się jeszcze dalej... Wanda chciała, bym poznała świat, bym osiągnęła, ile tylko się da. Pamiętam jedną rozmowę – nawet nie kłótnie, gdy kończyłam podstawówkę, i rodzice rozmawiali, co będzie ze mną dalej.

To był sobotni wieczór, miałam jechać na dyskotekę do Komańczy, z kilkoma koleżankami. Miał tam być Adrian – chłopak z Rzepedzi, który strasznie mi się podobał. Bardzo byłam podekscytowana, zakręciłam sobie włosy, a Jolka pożyczyła mi usztywniany stanik, który powiększał moje piersi i sprawiał, że wyglądałam znacznie doroślej. Bądź co bądź, tydzień wcześniej, na poprzedniej dyskotekę, powiedziałam Adrianowi, że mam siedemnaście lat. No bo kto by chciał chodzić z czternastoletnią smarkulą? Jolka pomogła mi się umalować, jak zawsze przed dyskoteką. U mnie w domu makijaż był zakazany, ojciec nie tolerował „pindrzenia się” i zawsze przed jakąś imprezą szłam do Jolki, żeby mnie wyszykowała. Ten wieczór miał być wyjątkowy, miał przesądzić o wszystkim! Byłam strasznie zdenerwowana, i ciągle chichotałam, co chwila wycierając spocone ręce. Wyobrażałam sobie, jak Adrian podchodzi do mnie, tym swoim niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach, patrząc czekoladowymi oczami, jakbym istniała tylko ja...

Zatańczylibyśmy, raz, drugi, wreszcie zgrzani wyszlibyśmy na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem. Drżałabym w mojej jasnej, lekkiej sukience, a on, z krzywym uśmiechem, zapytałby, czy mi nie zimno. Ja wzruszyłabym ramionami, a on po prostu by mnie objął. Stalibyśmy pod ścianą, z boku budynku, i ukradkiem palilibyśmy na pół papierosa, którego Adrian wyjąłby z wymiętoszonej paczki. Noc byłaby piękna. Rozmawialibyśmy o niczym, w pewnej chwili, gdy nie byłoby już o czym gadać, i zapadła by cisza, on pochyliłby się, i mnie pocałował. Najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej, aż odpłynęłabym z zachwytem. A potem wrócilibyśmy do sali, trzymając się za ręce, i wszyscy by wiedzieli, że jesteśmy parą....

Ale samochód nie zapalił. Samochód Jarka, brata Aśki, którym mieliśmy jechać do Komańczy. Takie rzeczy się zdarzają – los często płata nam figle, gdy najmniej się tego spodziewamy. Tym razem narzędziem Losu był samochód, który nie zapalił.

Stałam w swojej pięknej, jasnej sukience, założonej po raz pierwszy tego wieczoru, z piersiami znacznie powiększonymi przez sterty gąbki, i kolczykami błyszczącymi jak spławiki. Stałam i płakałam, oczami wyobraźni widząc, jak moja szansa, moje przeznaczenie, moje szczęście, jest bezpowrotnie stracone.

Nie chciałam wysłuchiwać słów pociechy, ani łązić po Mikowie, w poszukiwaniu kogoś, kto zgodzi się mnie podwieźć. Wszyscy potencjalni kierowcy byli przyjaciółmi mojego taty, i na pewno, widząc mnie w tym stroju i makijażu, podwieźliby mnie, ale do domu. By ich kolega Artur sprzął mi tyłek na kwaśne jabłko... Po chwili wahania odrzuciłam też propozycje Jarka, by posiedzieć w samochodzie, i obalić flaszkę na czworo. Byłam zbyt zawiedziona, by pić. Starłam z twarzy makijaż, na ile się dało, i jak pies z podkulonym ogonem wróciłam do domu. Nie spieszyłam się, no bo do czego tu się spieszyć?

Potem nawet żałowałam, że nie szłam jeszcze wolniej. Szłam powoli, a przed oczami przelatywały mi obrazy na zawsze utraconego szczęścia, u boku pięknego Adriana o gęstych, kręconych włosach. Najpiękniejszy w całej okolicy! I mógłby teraz być tuż obok mnie, powoli przysuwając swoje usta do moich... Ech!

Zdjęłam buty w sieni, i boso weszłam do domu. W soboty, gdy wiadomo było, że wrócę późno, Wanda nie zamykała drzwi. Nie miałam kluczy, a nie chciała, bym budziła ich po nocy, dobijając się. Nikt się nie spodziewał, że tak wcześnie będę w domu. Szłam cicho – nie chciałam z nikim rozmawiać, a szczególnie wysłuchiwać pocieszeń Wandy. Dlatego pewnie usłyszałam ich rozmowę. Cichą, i na pewno nie przeznaczoną dla moich uszu.

Głos ojca - ...jak swoja matka!

Wanda zmitygowała go: - Ale przecież to nie ma nic do rzeczy!

- Och! Ty tego nie widzisz, nie znałaś jej! – ojciec był rozgoryczony

- No ale co to ma wspólnego z Anką i jej wyjazdem? – zdziwiła się Wanda

- Nie rozumiesz? Są takie same, to samo spojrzenie, ten spokój... Ona chce nas opuścić...

- Nie opuścić... no co ty mówisz w ogóle! Chce się uczyć! I co w tym dziwnego zresztą? Jest taka zdolna: pani Jamkowa mówiła przecież, że Ania jest

najzdolniejsza w klasie, i szkoda jej do zawodówki oddawać! Mogłaby liceum zrobić, a nawet na studia iść!

- Sranie w banie! Studia! Matura! Na co to komu? Niech lepiej zawód zdobędzie! Co jej ze studiów przyjdzie tu, na wsi?

- Mogłaby w szkole uczyć, w Smolniku, albo w urzędzie w Komańczy pracować

- Myślisz, że co, że niby po studiach chciałoby jej się tu wracać? Tu nawet autobus nie dojeżdża! Posmakuje miasta, inna będzie!

- No to co, to nawet do Leska jej nie puścisz? To też miasto! Ma szkoły nie zrobić żadnej? Tak będzie dobrze?

- W Lesku u Anety by mieszkała. Moja siostra już by upilnowała jej! Nie pozwoliłaby jej uciec!

- Uciec? Jak to uciec?

- Myślisz, że tego nie widzę? Tego jej spojrzenia, tego zamyślenia, tego dziwactwa. Taka sama była ta diablica, jej matka!

„Jej matka”. Jej matka. Jakby ktoś mnie w twarz uderzył. Oparłam się o ścianę.

- Co ty wygadujesz, Artur?

- Ona też miała w głowie narojone! Lepsza się czuła. Sprowadziłem przekleństwo na ten dom w dniu, w którym została jego panią.

Chwila ciszy. Zachrypnięty głos ojca – Najpiękniejsza ze wszystkich kobiet. Czarnowłosa Weronika, która odeszła równo sześć lat od naszego ślubu. Tak, jak zapowiedziała w jego dniu.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, i zatoczyłam się.

Wszystko wróciło.

Kobieta na plaży. Włosy rozwiane wiatrem. Jej szare spojrzenie. Sztywne rzęsy i pomarańczowe igliwie, osypujące się dookoła, jak deszcz. Pisk Anety, której omsknęła się stopa wprost do lodowatej wody. Ciepły głos, niewprawnie nucący kołysankę.

Smutek.

Nie chce pamiętać.

Mamo.

Aneta miała miłą, okrągłą buzię i ciemne oczy, okolone sztywnymi rzęsami. Była beztroska.

- Dlaczego nie zrobisz chociaż matury? – pytałam, przyjeżdżając do domu przelotem, między jednym semestrem, a drugim. Anetka wzruszała ramionami, uroczco niewinna – Widać w naszym domu od myślenia jesteś ty. – odpowiadał tata, patrząc na mnie z krzywym uśmiechem – Nasza Pani Magister, która zaszczyca nas czasem swoją obecnością. Bardzo to łaskawe.

Miał żal, że wyjechałam. Obwinił za to Wandę. „Nie umiałaś jej wychować w naszych wartościach!” – mówił do niej z wyrzutem. W naszych, to znaczy w jakich?! - powinna zapytać, ale ona tylko gładziła go po rękę. I przynosiła kawałek ciasta.

- Za mąż się aby nie wybierasz? – pytał lekko złośliwie – Dobrze by było poznać

narzeczonego wcześniej, a nie w dniu ślubu. Tam, w miastach, jesteście i do tego zdolni.

Nikt z rodziny mnie nie odwiedził w Warszawie. Ani razu. Nawet Anetka, chociaż ją bardziej kusiło miasto. No ale cóż, skoro gdy tylko zaczęłam studia, to było bodajże w listopadzie, zadzwoniła Wanda, i zmienionym głosem oznajmiła, żebym szykowała się na świadkową. Anetka w ciąży... Wyszła za mąż na Boże Narodzenie, za chłopaka z Mikowa, naszego sąsiada.

Nie było co załamywać rąk nad jej losem – największym marzeniem mojej młodszej siostry było założenie szczęśliwej rodziny. To, że zabrała się za to w wieku siedemnastu lat, to już inna sprawa. Bogdan był porządnym gościem. Kiedy Anetka powiedziała mu, że jest w ciąży, kupił lepszą wódkę i poszedł do naszego ojca, pogadać. Ojciec, jak to on, pieklił się trochę, ale na ślub przystał od razu. „Panien z dzieckiem w moim domu nie będzie!” – oznajmił, a zapłakana Anetka, i równie zapłakana Wanda, z wdzięcznością go wycalowały.

I tak zostałam cicią.

Sandra urodziła się w maju. Trzymałam ją do chrztu, gdy przyjechałam do Mikowa po pierwszym roku biologii na U.W.

Dziwne to było dziecko, ta Sandra, od samego urodzenia. Ciemnowłosa, jak Bogdan, i z okrągłymi, brązowymi oczkami swojej matki, lecz jakoś niepodobna do nikogo. Obca. Prawie nigdy nie płakała, mało mówiła. Spokojna. Mój ojciec, który lubił huśtać swoje wnuczęta, i śpiewać im stare piosenki (bo Aneta już rok później urodziła bliźnięta, kubek w kubek podobne do siebie nawzajem, i do niej), nigdy nie miał serca do Sandry. Nie lubił na nią patrzeć. Zrozumiałam, dlaczego, gdy dziewczynka podrosła trochę.

Byłam wtedy chyba po trzecim roku, przyjechałam na wakacje do domu. Nikt nie wiedział, kiedy dokładnie przyjadę, i nikt na mnie nie czekał na dworcu w Łupkowie. Zazwyczaj dzwoniłam do domu, i Bogdan albo ojciec wyjeżdżali po mnie, żeby pomóc mi z bagażami, no bo ciężko tachać te wszystkie klamoty, a potem iść ze Smolnika, gdzie dojeżdżał PKS. Miałam pojawić się tydzień później, ale pokłóciłam się z Sebastianem, moim facetem, i zamiast jechać z nim do Zakopanego, pojechałam do siebie. Niech zatęskni, palant! – myślałam wtedy, naiwnie wierząc, że go zmienię. Na lepsze.

Szybko pożałowałam, że nie uprzedziłam w domu o swoim przyjeździe. Wysiadłam w Smolniku, objuczona, jak wielbłąd, z rozładowaną komórką i mocno depresyjnym nastrojem. Ostatnim przebłyskiem rozsądku postanowiłam zajść do sklepu, gdzie mogłam kogoś z Mikowa spotkać. I rzeczywiście, los się do mnie chociaż w taki sposób uśmiechnął: Gerard, wuj Bogdana, przyjechał do Smolnika po zakupy. Od razu zapakował mnie i moje torbiszczą do samochodu, i trajkocząc nieustannie, wariacko ruszył do Mikowa.

Gerard, Bogdan i jego ojciec, Michał, byli bardzo do siebie podobni. Szczupli, żyłaści, o ciemnych, wąskich oczach i gęstych, czarnych włosach, opaleni niemal cały rok, bo cały rok pracowali na świeżym powietrzu. Gerard wyróżniał się długimi, zwieszającymi się wąsami, które nadawały jego twarzy rys ponadczasowości. Lubiałam go, bo nie traktował mnie jakbym była przyjezdna, z miasta. Dla niego nadal

byłam stąd. To ja byłam tą Anką od Artura i Wandy, siostrą najładniejszej dziewczyny w okolicy. Tą Anką, która złamała sobie obojczyk, gdy jako sześciolatka spadła z huśtawki, i leśniczy musiał ją do lekarza wieść. Anką, która kradła razem z Jarkiem i Jolką jabłka z sadu Śmietanych, a potem przez dobry tydzień na tyłku nie mogła usiąść! Śmialiśmy się, wspominając. Podwioził mnie pod sam dom, leżący na początku Mikowa, naprzeciw domu sklepowej. Po jej podwórzu, jak zawsze, spacerowały indyczki, a stary, zatuczony pies, leniwie drzemał na schodach.

Wszystkie domy w Mikowie, no, prawie wszystkie, były identyczne: drewniane, ciemne, ze stryżkiem, dzielone na dwie rodziny. My sąsiadowaliśmy z Wierskimi - porządnymi ludźmi, którzy mieli tylko jedno dziecko, syna, sporo starszego ode mnie. Nigdy nie byłam z nim w jakiejś specjalnej komitywie, znałam go dobrze, jak każdego tutaj, ale nic ponadto.

Dziewczynka stała w progu, i wcale nie patrzyła na mnie.

...Chociaż pewnie stanowiłam ciekawy obrazek, gdy tarabaniłam się z tymi walizkami, zziębnięta i potargana, dysząc jak pies.

Stała w progu, nieruchoma i jasna. Jak wspomnienie kobiety na brzegu.

Sandra o poważnej buzi i jakby obcych rysach twarzy. Jakby utkanych z głęboko ukrytych wspomnień.

Przeszył mnie dreszcz, a w głowie obudziły się obrazy. Cienie obrazów, głosów, szelest stron książki, trzymanej przez ciemnowłosą na kolanach, i moje sennie opadające powieki.. „Dobrej nocy, Skarbie” – echo czulego szeptu i zapach gładkiego policzka... Skuliłam się.

Nigdy nie wracałam z ojcem do tamtej podsłuchanej przypadkiem rozmowy. Nie mogłam. Po tamtych jego słowach uciekłam do pokoju.

Cała noc sny mieszały się z jawą, a rano dopadła mnie migrena. „Jak się nie umie, to się nie pije!” – szepnęła mi Wanda następnego ranka, gdy próbowałam wytrwać przy śniadaniu. Nic nie odrzekłam. Wołałam, żeby widziała we mnie ofiarę sobotniej hulanki, niż zadawać pytania, na które nie chciałam znać odpowiedzi. Niech przeszłość będzie zamknięta! Jak wrota ze spiżu.

Kilka lat później, gdy nie wszystko układało się w mojej głowie, i wielu odpowiedzi brakowało, bym mogła dorosnąć, próbowałam porozmawiać z ojcem.

- Tato..

- Tak, curuś? – często mówił do mnie czule.

- Tato... Gdzie jest mama? Co się z nią stało?

- Jak to co? Poszła do sklepu, do Smolnika.

Chrząknęłam. – Ja... Nie mam na myśli Mamy. Tylko tamtą, wiesz. Mamę We.. Weronikę.

Cisza. Szelest gazety, gwałtownie zmiętej, i jego wściekły wzrok – Co ty bredzisz? Co? Masz jedną matkę, jedną!

Wstał. Stanęliśmy naprzeciw siebie, równie przerażeni.

- Twoją jedną, JEDYNA mamą jest Wanda! Przestań roić sobie jakieś bzdury!

- Ale tato...

- Milcz!

- Tato, przecież ja ... ja PAMIĘTAM! – pamiętam. Moje słowa unosiły się w ciszy,

rosnąc i rosnać, rozsadzając ją.

...Pamiętam brzozy, rosnące w jakimś zagajniku, na zboczu, i grzebień w jej smukłej dłoni, gdy wyczesywała z włosów liście. Czuły wzrok... I szelest. Pochyla się ku mnie, jest pod słońce. Nie widzę twarzy, ale zapach czuje, JEJ zapach. Pachnie czymś dobrym. ONA jest dobrem... Szelest i wołanie. Nagle wyprostowana odwraca się. Wypatruje... Tam jest, tam jakaś ciemna postać.. Mama bierze mnie za rękę, pójdziemy jej na spotkanie...

Przykładam dłoń do skroni, potem do ust, nie mówię, co pamiętam, nie mogę cię zdradzić, mamo. Mamo.

Ojciec patrzy na mnie bez słowa, chyba chce mnie uderzyć, ale nagle wychodzi z pokoju, z domu, z podwórka, idzie dalej, może wyszedł też z Mikowa.

... A teraz stoję przed domem, i widzę Sandrę, o twarzy dziecka jakby obleczonej w maskę. Maskę z rysów kobiety, która zniknęła wiele, wiele lat temu. Zbyt dawno, bym chciała ją pamiętać.

Nigdy jednak nie miałam odwagi poznać prawdy. Aż do teraz.

Wróciłam, żeby dowiedzieć się, co się stało z moją matką. I jeśli to możliwe, by ją odnaleźć.

Jest ze mną Ewka, moja przyjaciółka ze studiów, i Adam, mój były chłopak. Właśnie skończyliśmy studia, i przyjechaliśmy do mnie, do domu.

Jest wrzesień.

Wanda krząta się po kuchni, słuchając radia. W całym domu pachnie ciastem.

- Mam nadzieję, że się wyspałyście! – mówi do mnie, uśmiechając się. Ja i Ewa śpimy w pokoju, należącym niegdyś do mnie i Anety, Adam zagospodarował „duży pokój” – największy pokój w domu.

- Spałyśmy jak susły! – potakuje – Gdzie ojciec?

- No jak to gdzie? U Milczarków, oglądają te swoje maszyny. Przecie dziś sobota. Roześmiałyśmy się obie. Dziwne, że zapomniałam o tutejszym, typowo męskim rytuale. Co tydzień mężczyźni z Mikowa spędzali sobotnie poranki na oglądaniu i polerowaniu samochodów, by były lśniące i wypucowane przed niedzielą. Na ogół spotykali się u Milczarków, bo oni mieli największe podwórko.

To, że wszystko jest po staremu, dziwnie mnie wzrusza.

- Tutaj nic się nie zmienia, wiesz. – mówi Wanda.

- Wiem, mamo.

- Cieszę się, że przyjechałaś.

- Ja też. – mówię, i nie kłamię. Rzeczywiście się cieszę, że wróciłam do domu, chociaż na krótko.

- Myśleliśmy, że latem przyjedziesz. Anetce było przykro, że nie byłaś na chrzcinach Zosi.

- Oj wiem, mamo. Ale pracowałam i nie mogłam się wyrwać! – kłamię. Po prostu nie miałam ochoty przyjeżdżać, oglądać tego wszystkiego, słuchać głupich uwag i pytań, co dalej. Pytań, na które nie znam odpowiedzi. Skąd mam wiedzieć, co dalej? Nie wiem nawet, co teraz.

To Ewka wpadła na ten pomysł, żeby tu przyjechać, wywołać duchy przeszłości. Gdzieś tam wyczytała teorie, że aby żyć w harmonii ze sobą, należy pogodzić przeszłość z teraźniejszością. Dopiero wtedy można ukształtować przyszłość.

Ewka, jako jedna z nielicznych, знаła mój sekret, ową czarną dziurę, tajemnice, co się stało z moją matką. Powiedziałam jej kiedyś, podczas jednej z tych straszliwych godzin, gdy alkohol puszcza ciało i umysł, i na człowieka spada melancholia. Płakałyśmy obie, ja nawet dostałam potężnej czkawki... To było wiele lat temu, na początku studiów, gdy i nasza przyjaźń dopiero się zaczynała.

Zabrałyśmy ze sobą Adama, mojego byłego, bo dobrze było mieć kogoś o trzeźwym umyśle. Dla niego zniknięcie mojej matki wcale nie było czymś niezwykłym.

„No zastanówcie się, dziewczyny! Po prostu odeszła od twojego ojca, nie ułożyło im się, i tyle! To się zdarza. A że on nie zachował zdjęć, i że nic o tym nie mówił, no to już dziwne nie jest. Czuł się skrzywdzony, był zły, nie umiał sobie z tym poradzić. To chyba normalna reakcja po rozpadzie małżeństwa. Jedyne, co może być dziwne, to to, że matka nie zabrała ciebie i Anety ze sobą, na ogół kobiety nie zostawiają dzieci. Ale i to da się wyjaśnić – może uznała, że tak będzie lepiej dla was, może była w depresji, obawiała się, że nie podoła opiece nad wami..”

„No a to, że ojciec się wypiera, że moja prawdziwa matka istniała?”

„Ojej, no Anka, myślałam, że jesteś mądrzejsza! Po pierwsze, zostawiła was, jak byłyście małymi dziećmi. Może miał nadzieję, że nie będziecie jej pamiętać. Dla niego to bolesny temat, nie chciał go rozgrzebywać. Pewnie uznał, że tak będzie i dla was łatwiej. Ułożył swoje – i wasze życie na nowo, znalazł sobie porządną kobietę, dobrą matkę dla swoich dzieci... Komu przyszłoby coś dobrego z rozgrzebywania przeszłości? A poza tym – cholera wie, może i wasza matka, ta prawdziwa, po jakimś czasie zaczęła się z wami kontaktować, pisać, czy coś, i może chciała - nie wiem, wrócić do was, albo zabrać dzieci? I ojciec się tego bał. Bał się, że może gdy znów ją zobaczycie, zacznie mącić wam w głowach, przywiążecie się do niej, i będziecie tęsknić, albo wręcz będziecie chciały z nią być, a nie z nim? Uważał, zresztą słusznie, że ma większe prawo do tego, by was wychowywać.

A poza tym, przecież pochodzisz z wioski, z totalnego zadupia. Tam pewnie nadal skrzętnie ukrywa się ciemne sprawy, a rodzina to świętość.”

Czasem racjonalne wywody Adama irytowały mnie strasznie. A czasem potrzebowałam ich bardzo. Żałowałam, że nam nie wyszło, i rozstaliśmy się, tak bez sensu.

Adam podpowiedział coś, na co sama powinnam wpaść, i to dużo wcześniej. Przecież było bardzo prawdopodobne, że Weronika pisała do ojca, albo nawet i do nas – do mnie i do Anety, a on nie przekazywał listów. Tak, jak bardzo było prawdopodobne, a wręcz pewne, że matka i ojciec byli rozwiedzeni. Niemożliwe przecież, by Wanda i ojciec żyli bez ślubu. Nie w Mikowie.

Jeśli rozwód został przeprowadzony, muszą być jakieś dokumenty.

Jedyną osobą, która mogła cokolwiek wiedzieć – poza ojcem, była Wanda.

Pozostała mi nadzieja, że Wanda będzie chciała ze mną rozmawiać o mojej

biologicznej matce.

Czuje suchość w gardle, i serce mocno mi bije. Teraz albo nigdy, wiem to.

- Mamo... Ja... - chrząkam – Muszę cię o coś zapytać. To jest bardzo, bardzo ważne dla mnie.

Wanda odwraca się, uśmiechając od ucha do ucha – Och! To może poczekamy na twojego ojca!

- Na ojca? – nie rozumiem.

- Myślę, że powinnaś przede wszystkim jego zapytać, a właściwie, to Adam powinien zapytać...

- Nie, och, nie! – przerywam jej szybko, zdradziecko zarumieniona – To zupełnie nie o to chodzi! Ja chciałam o nią, o Weronikę zapytać. – jakoś tak samo mi się wyrwało to, co najtrudniej było powiedzieć.

Oczy Wandy robią się wielkie, wielkie, i bardzo błyszczące – Nie rozumiem. O jaką Weronikę.

- O Weronikę. No wiesz. Wszyscy wiedzą przecież. – jestem zdeterminowana, i może przez to okrutna. Sama słyszę, jak twardo brzmi mój głos. Wanda jest blada. Odkłada ściereczkę, którą polerowała szklanki, i patrzy na mnie bezradnie.

- Nie wiem, czy nie powinnaś raczej z ojcem porozmawiać. – jak zawsze, gdy nie jest pewna, czy coś pochwaliby mój ojciec, jest bezradna

- Ojciec nie chce mówić na ten temat. – mówie - A ja muszę wiedzieć.

- Ale co?

- Cokolwiek. A najlepiej wszystko! Wszystko: co się z nią stało, czy pisała potem, czy żyje, czy są rozwiedzeni, skąd pochodziła, gdzie mieszka teraz, i gdzie mieszkają jej dziadkowie... Chce wiedzieć takie rzeczy, jakie wie każdy o swojej matce! – widzę, jak bardzo jej przykro, *mojej prawdziwej matce*, i jak walczy ze sobą.

- Chodźmy może na ganek. – decyduje wreszcie, a ja czuje przyływ nadziei. Skoro chce iść na ganek, z którego będziemy widzieć jak na dłoni, czy wraca ojciec, to możliwe, że powie mi coś, co on ukrywał przez tyle lat.

Niezgrabnie siadamy na ławce, opierając się o drewnianą, ciemną ścianę. Świeci piękne słońce, jest ciepło. Wanda patrzy przed siebie, Jest blada.

- Nie wiem o niej wiele. Nie.. nie chciałam wiedzieć. To był trudny temat dla mnie, wiesz.

- Wiem. I dziękuję, że chcesz mi powiedzieć, mamo.

- Wiesz, bo ja jakby zajęłam jej miejsce... To był jej dom, jej mąż... i jej...jej dzieci. Nie lubiłam jej, i cieszyłam się, że twój ojciec nigdy o niej nie wspomina. Ale mimo tego opowiem ci, co wiem, bo zawsze uważałam, że powinnaś wiedzieć, i mówiłam to Arturowi. Przecież jesteś jej dzieckiem. I byłaś na tyle dużą, że na pewno chociaż trochę ją pamiętasz. Miałaś przecież pięć lat, gdy odeszła.

- Nie pamiętam wiele. Pamiętam tylko, jak chodziłyśmy nad rzekę.

- Nad rzekę, tak... Możliwe, że zabierała was tam. Ona zawsze stąd uciekała, z tego domu, z Mikowa, i włóczyła się po okolicy – głos Wandy jest niespodziewanie twardy, nigdy nie słyszałam, by mówiła takim głosem – Twoja matka nie była stąd. Nie wiem, skąd była, nie interesowało mnie to zresztą nigdy. Wiem tylko, że poznali się z twoim ojcem w mieście, jak jeszcze tam swoje sprawy miał.

- W mieście? – nie miałam pojęcia, że mój ojciec bywał w mieście, poza wyjazdami na jakieś zakupy gwoździ czy innych takich, raz na kilka lat.

- Ano w mieście! Przecież Artur prawie pół roku w mieście siedział, chciał szkołę zrobić. Ale musiał wrócić po tym, jak twojego dziadka sparaliżowało, wiesz, po wylewie, i ktoś musiał gospodarkę objąć.

Nie wiedziałam o tym. Nagle zdałam sobie sprawę, jak niewiele wiem o swoim ojcu. Nigdy nie pomyślałam, że i on mógł mieć jakieś marzenia i ambicje. Zawsze podświadomie traktowałam go jakby trochę z góry, jak prostaka, kogoś, kto mnie nie jest w stanie zrozumieć. Kogoś, dla kogo szczytem marzeń jest równo skoszona łąka i talerz zupy. Zrobiło mi się dziwnie.

- Twój ojciec to dobry człowiek, chociaż ma wady, jak i każdy z nas – Wanda patrzy na mnie. Wie, o czym myślę – Bardzo jesteście do siebie podobni, ty i on. Chociaż obydwójce mówicie coś innego – Uśmiecha się lekko. – Tak więc Artur nie zrobił szkoły, wrócił tutaj. A razem z nim przyjechała ona. Ta cała Weronika.... – zamyśla się. Nie poganiam jej, chociaż tysiące pytań ciśnie mi się na usta.

- Weronika była sierotą, wychowała się w domu dziecka. To wiem. Poznali się z twoim ojcem w stołówce – ona tam pracowała, po szkole gastronomicznej była, a twój ojciec tam, w tej stołówce jadał. Poznali się, i jak to bywa z młodymi, przypadli sobie do gustu, jakieś tam plany snuli... Artur nigdy nie chciał na wsi mieszkać, wiesz? Nienawidził wsi, i nienawidził Mikowa! Tak, jak i ty... Miał szkołę skończyć, zamieszkać w mieście, pracować w fabryce, w Autosanie, albo gdzieś. On i Weronika zaręczyli się szybko, i bardzo szybko wzięli ślub, w mieście, nikogo z rodziny na nim nie było. Wszystko było ustalone, ona miała pracę, on też, wieczorowo szkołę robił. A tu nagle okazało się, że Wojtek zaniemógł, i trzeba coś z gospodarstwem zrobić. Artur nie chciał tu wracać, ale przecież nie był z kamienia, nie mógł zostawić matki samej ze wszystkim, musiał pomóc. Przyjechali do Mikowa w pewien ciepły, październikowy dzień – on i Weronika. Pamiętam to.

- Jak to?

- Pomagałam pielęgnować twojego dziadka wtedy. Już wiadomo było, że nie pożyje długo, takie rzeczy się wie po prostu. Tak... - znów odpływa myślami -

- Twoja matka była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam. Chociaż szczerze mówiąc, nie widziałam w życiu wielu ludzi, bo nigdy nie byłam nawet w Sanoku. Moja mama była salową kiedyś, znała się na chorobach i opiece, i przychodziła tu, do Wojtka, by go pielęgnować, a ja razem z nią. Miałam może siedemnaście lat wtedy. Twoja matka stała tutaj, na ganku, cała zarumieniona, i bała się wejść. Artur, jak to Artur, niecierpliwił się, i ciągnął ją za rękę. Miała taki szary, cienki płaszczyk na sobie, i długie, rozpuszczone włosy, bardzo gęste i ciemne. Drobna, delikatna, taka jakby przeźroczysta. A on, jaki był dumny, mimo zmartwienia! We wszystkich oknach, i na wszystkich podwórkach, niby to przypadkiem, roilo się od ludzi. Każdy chciał młoda żonę Artura zobaczyć!

Wyobraziłam to sobie, i uśmiechnęłam się.

- Twoja babcia bardzo miło ją przyjęła. Zupełnie nie jak teściowa, wiesz zresztą sama, co to się o teściowych mówi!

- Wiem.

- Weronika to była dziewczyna z miasta, nie miała zielonego pojęcia, co to życie na wsi znaczy! Ona chyba myślała, że wiesz, że przyjechali z Arturem na chwile, a potem do Sanoka wrócą. Tak zresztą, z tego, co wiem, miało być.

Nie wiem, jak to się stało, że Artur zmienił zdanie, i jednak tutaj zostali. Pewnie matka go poprosiła. A może i sam nie chciał wyjeżdżać – bądź co bądź, jak ktoś jest stąd, to zawsze tęskni za górami. Nie da się inaczej.

Ja nie znałam zresztą za dobrze twojego ojca, znałam jego rodziców trochę. Wkrótce po przyjeździe młodych, Wojciech zmarł. Byłam na pogrzebie, na cmentarzu w Smolniku jest pochowany, jak wiesz. Przyszliśmy z matką na pogrzeb, tak wypadło zresztą, w końcu to my opiekowałyśmy się nim prawie do końca. No a potem to ja twojej matki wcale nie widywałam, zresztą – ja w Smolniku mieszkałam, ona tu. Czasem mi mignęła, jak szła gdzieś, sama. Już nie była taka piękna, powiem ci, strasznie tu zmizerniała.

Ty się urodziłaś w kwietniu, po tej mroźnej zimie, co to na dwa miesiące prawie odcięła Mików od świata. Dla twojej matki coś takiego musiało być szokiem, takie warunki... Dwa lata po tobie urodziła się Aneta. A wiesz, że Anecie na świat przyjść pomogła moja mama? – patrzy na mnie. Potrząsam głową. Nikt mi o tym nigdy nie mówił.

- Aneta zimą się urodziła, do lekarza nie zdążyli dojechać, za wcześnie poród jakoś wypadł. Dobrze, że moja mama była w pobliżu, i pomogła! – Wanda potrząsa głową, zapatrzona we wspomnienia. Boje się choćby ruszyć, by nie zburzyć tego nastroju, i nie przerywać jej opowieści.

- Twoja babcia Marta zmarła, jak miałaś... nie wiem, ze trzy – cztery, no ze cztery raczej, lata. Na jej pogrzebie też byłam.

Wiesz, myślę sobie czasem, że dopóki ona żyła, twojej matce jakoś łatwiej było tu wytrwać. Miała do kogo gębę otworzyć, nie była sama z tym wszystkim... Bo dla kobiety z miasta poradzić sobie z robotą na wsi, to jest prawie niemożliwe. Tak ja myślę.

A twoja matka w dodatku była taka obojętna na to, co z gospodarstwem. Jedyne, co robiła, to zajmowała się wami – tobą i Anetką. Nawet gotować bardzo nie chciała, chociaż przecież po gastronomiku była! A już żeby przy zwierzętach pomóc, albo w polu! Nigdy w życiu! I tak Artur ze wszystkim sam musiał sobie radzić, bo matka słabowała już, a Weronika nie od roboty była... Dama! – Wanda zerka na swoje spracowane ręce, i na podwórko, o które dba jaki i o własną kuchnię. *Ona* zawsze była pracowita.

- Właśnie niedługo po śmierci twojej babci wszystko się popsuło między Arturem a Weroniką. Tak czasem bywa, że kłopoty się nawarstwiają.

Twoja matka nie nadawała się na gospodynię, a Marty zabrakło, i wszystko sama tu musiała robić, jak Artur był w polu. A ona robotna nie była przecież! W dodatku jeszcze żałoba na nią spadała, bo podobno były do siebie bardzo przywiązane – ona i Marta.

Wiesz, Weronika to przecie bez matki się chowała, sama na świecie, więc nie dziwne, że tak do teściowej przygłnęła. A po jej śmierci ciężko jej było dojść do siebie. Artur też przecież cierpiał, matkę to on kochał.

No i w końcu Weronika odeszła. Zostawiła rodzinę. Matka! – głos Wandy drży z oburzenia. – Między mną a twoim ojcem wszystko szybko poszło. Może i za szybko, kto to wie, ale taka to sytuacja była, że nie dało rady inaczej.

To bardziej z rozsądku było, niż z miłości. I powiem ci, że wahałam się trochę. Byłam wtedy młoda bardzo, wiesz? Miałam niewiele ponad dwadzieścia lat, młodsza od ciebie byłam.

Żal mi było Artura. Bardzo... Najpierw po prostu pomagałam mu przy dzieciach. A potem, jakoś tak... U niego to bardziej było, bo potrzebował kobiety w domu. A u mnie..? No podobał mi się, był solidny, pracowity i nieszczęśliwy. Nie uciekał w pijaństwo, kochał swoje dzieci... To są ważne sprawy, gdy idzie o wybór męża! – patrzy na mnie znacząco – Ładne oczy, wesołe żarty i prezenciki... To miłe jest, ale to nie najważniejsze, gdy wybiera się męża. Mąż musi być odpowiedzialny, dobry i godny zaufania. Twój ojciec taki właśnie jest! A twoja matka była głupia, że nie umiała tego docenić!

- A powiedz mi jeszcze... Kiedyś, dawno temu, usłyszałam przypadkiem, jak ojciec do ciebie mówił coś dziwnego o... o niej.

- Niby co?

- Że zostawiła go po sześciu latach, jak zapowiedziała w dniu ślubu.

Wanda patrzy na mnie, zdziwiona – Mój Boże, i ty wierzysz w takie brednie? A przecież szkoły zrobiłaś!

- No ale o co chodzi?

- Ech! To jakieś głupoty są! Twoja matka ubzduriała sobie, że umie przepowiadać przyszłość, czy jakieś inne idiotyzmy. Nie wiem, jak to dokładnie było, wiem, że jakieś książki czytała na ten temat, z kart wróżyła i takie tam. To jest przykre, że ci z miasta śmieją się z nas, że niby prości wiejscy ludzie, a sami robią takie głupoty! A potem jeszcze mają czelność chodzić do kościoła, uczestniczyć w mszy świętej!

- Więc to nic takiego..?

- No pewno, że nic! Że też wierzysz w takie bzdury! Słowo daje!

Milczymy chwilę. Jeszcze wiele jest rzeczy, o które pragnę ją zapytać. – A co było potem? Co się z nią stało?

Wanda wzrusza ramionami – Wróciła do miasta, ot co. Pomieszkiwała tu i tam, nigdzie nie zagrzała miejsca. Wiem, że jakiś czas w Sanoku mieszkała.

- Czy... Pisała do.. nas. Do mnie? Chciała się spotkać?

- Nie pisała żadnych listów, z tego, co wiem, i dobrze. Wasz ojciec się z nią spotkał na rozwodzie. Ja nie pojechałam. Z wami zostałam wtedy. Nie wiem, czy coś pytała o was. A nawet jeśli, to dobrze, że się nie widywałyście. Tylko w głowie by wam zmaciła. To nie miało sensu. Za dużo się stało.

Leżymy z Ewką na kocu rozłożonym na łące, niedaleko potoku. Jest cudownie ciepło. Adam nawet moczy nogi, ślizgając się na kamieniach.

- Mówiłam ci, że do górskich potoków wchodzi się w butach! – wołam ze śmiechem. Właśnie powtórzyłam im treść rozmowy przeprowadzonej rano z Wandą. Niedaleko pasie się krowa Kwaśników, odpędzając muchy od zadu energicznymi machnięciami ogona.

Jest mi dobrze.

Wreszcie pewne rzeczy zaczynają się układać.

- Chciałabyś ją spotkać? – pyta Ewa.

Wzruszam ramionami. Właściwie to sama nie wiem. I nie wiem, co odpowiedzieć. Za to Adam wie, jak zawsze.

- Zastanów się, czy to ma sens, takie spotkanie po latach. Ty masz swoje życie, ona swoje. Po co rozdrapywać stare rany? Co ci z tego przyjdzie?

- No ale chyba każdy chce wiedzieć, kim są jego rodzice, poznać ich! – Ewka siada na kocu, jej krótkie, czarne włosy są potargane. Nie jest ładna, ale jest niebywale sympatyczna.

- Anka wie, kim są jej rodzice. I zna ich bardzo dobrze. Rodzice to ludzie, którzy nas wychowali i kochali. Dla ciebie, Aniu, rodzicami są bez wątpienia Artur i Wanda. Tak uważam. – Adam nie ma wątpliwości. Ja mam.

- Wiecie, mi się wydaje, że pragnienie poznania biologicznych rodziców jest naturalne, właściwe każdemu człowiekowi. No bo zgadzam się z tobą, że moją matką jest Wanda, która była ze mną od zawsze, od wczesnego dzieciństwa, a nie Weronika, która...

- ...się na ciebie wypięła, brutalnie mówiąc. – podpowiada nieproszony Adam.

- Nie musisz być chamski, wiesz? – warczy Ewka – Mówisz o jej matce.

- O biologicznej matce! – poprawia ją Adam – Chyba już to ustaliliśmy.

- Jezu! Nie ma co ustalać! – denerwuje się – Przyjechaliśmy tu, bo chciałam się czegoś o niej dowiedzieć, o mojej matce. A wydaje mi się - nie: jestem pewna, że to dopiero wierzchołek góry lodowej.

- Co więc robimy? – zastanawia się Ewa – Może jednak spróbuj ojca podpytać?

- Nie sadze, żeby coś to dało. -stwierdzam, patrząc z satysfakcją, jak trudno Adamowi zachować równowagę w lodowato zimnej, bystrej wodzie.

- A może powinnaś pogrzebać w jakiejś komodzie, albo szafie? Czasem tam można natrafić na stare listy.- radzi Ewa.

- Tak, i odkryć rodzinne sekrety! Ech! Baby! Wy i wasza logika! - Adam kręci głową, zniesmaczony - A nie lepiej raczej poszukać tam, gdzie twój ojciec trzyma ważne dokumenty? Na sto procent tam trzyma też papiery rozwodowe, akt ślubu i tym podobne. – patrzy na nas z niejaką wyższością. Nigdy nie wiem, czy mocniej go podziwiam, czy mnie drażni. Jest jakaś sprzeczność w naszej relacji. Zawsze tak było. Nasz związek to była wieczna walka. Chyba jednak dobrze, że się rozstaliśmy.

Trochę żałuje, że go tutaj przywiozłam. Nie wiem, czemu, ale czuje w tym coś niewłaściwego, jakbym nagle za bardzo się odsłoniła. I nie przez tą sprawę z matką, o której przecież tyle razy jeszcze jak razem byliśmy, mu opowiadałam.

Może to dlatego, że on tu tak strasznie nie pasuje! Z tymi jasnymi, półdlugimi włosami, szczupłą twarzą i skośnymi oczami - piękny, mądry i wszechwiedzący. Patrzy z takim dystansem na wszystko, zawsze wie lepiej. Widzę, jak lustruje wzrokiem mój dom, moje podwórko, jak liczy domy, stojące w Mikowie, i w duchu kpi, że tak ich mało. Tak jak kpi ze mnie, że jestem dumą tej osady - jedyna, co dotarła aż do Warszawy. Pani magister!

Nie rozumiem, po co go tu zabrałam. Czuje się tak, jakby ktoś obcy wszedł do łazienki, jak się kąpie, i zobaczył mnie nagą, a potem szydził, że nie jestem tak piękna, jak oczekiwał.

Tak, to jest to. Nie spełniam jego oczekiwań!

Miejsce, z którego pochodzę okazało się zbyt ciasne, prowincjonalne, odcięte od świata. Ten jego wzrok, gdy szliśmy ze Smolnika, wzdłuż Osławy! Po jednej stronie drogi – skarpa, daleko pod nią, potok szumi, po drugiej stronie – zbocze porośnięte tarniną, potem leszczynami. Naraz – lipy i mała kapliczka. Wszędzie majestatyczne góry, raz łagodne, o miękkich, skoszonych zboczach, raz ciemne, ostre, zimne. Nie spotkaliśmy ani jednego człowieka.

Mogłam być dziewczyną z górskiej wioski, ale nie z takiej. Za mało romantycznej, za mało dzikiej, bo dopóki nie zobaczy wilków podchodzących pod drzwi, i saren przebiegających drogę, będzie dla niego po prostu wiejsko.

A przecież nigdzie nie jest piękniej.

Mików, otulony przez góry, z kilkunastoma drewnianymi domami. Z potokiem Mikowym, uchodzącym do Osławy, szumiącym pośród kamieni. Mój dom, moje dzieciństwo, mój pierwszy świat. To wszystko jest we mnie tak głęboko, że stanowi część mnie samej. Pamięć tych dobrych dni, i tych złych.

Owoce jeżyny swym ciężarem wyginające gałęzie, kamienie odbijające się od powierzchni wody, śnieg głęboki po pas, czerwone od jesieni zbocza gór. Ten widok, gdy wracam do domu, i idę między przytulonymi do siebie domkami, przez ten kawałek ziemi, wyrwany naturze przez człowieka. To wzruszenie, gdy mam ochotę paść na kolana, i dziękować, że istnieje coś tak nieskończenie pięknego. Jakie to ma znaczenie, że nie dojeżdża autobus, że wszędzie daleko, że zimą można wycić z samotności, i czasem pragnienie ucieczki jest równie silne, jak powrotu?

Po kolacji ojciec siada w swoim ulubionym fotelu i pali papierosa. Wanda kręci głową, niezadowolona. Przy gościach nie zwróci mu uwagi, i nie wygoni go na ganek, i ojciec z tego korzysta, mrugając do mnie ponad stołem. Uśmiecham się.

Ewę pochłonięła rozmowa z Anetką, która wpadła do nas, razem z dziećmi. Najmłodsza Zosia już śpi – położyłyśmy ją u rodziców w pokoju. Trzyletnie bliźniaki – Łucja i Andrzej, podobne do siebie jak dwie krople wody, siedzą na kolanach Wandy. Dzieci zawsze ją uwielbiały. Sandra, jak zwykle poważna, siedzi na dywanie, i coś sobie rysuje. Nie zwraca na nas specjalnej uwagi, pochłonięta pracą.

- Jest bardzo zdolna! – mówi Aneta, wskazując na nią. – Wszyscy tak mówią, że jak na dziecko, co to ma niewiele ponad cztery latka, ślicznie rysuje. I taka jest grzeczna! Kto wie, może też pójdzie na studia, jak jej mama chrzestna!

- Pewnie, niech i ona nam do miasta ucieknie! – mruczy mój ojciec.

- Aj, tato, ty to mówisz, jakbyś był ze średniowiecza, słowo daje! – narzeka Anetka. Sporo schudła, odkąd widziałyśmy się po raz ostatni. Dobrze wygląda: po bliźniakach ważyła prawie osiemdziesiąt kilo, strasznie przytyła w ciąży. Teraz dba o siebie – farbuje włosy na rudo, maluje się, czasem nawet jeździ do miasta, na zakupy. Odkąd Bogdan w Niemczech siedzi i pracuje na budowie, lepiej im się powodzi. - Świat idzie na przód, wszystko się zmienia. – Aneta jest orędowniczką postępu.

- Zmienia, pewnie. Szkoda tylko, że nie na lepsze. – ojciec potępiająco kiwa głową.
- A ja uważam, że na lepsze! – upiera się Aneta. – Zobacz, tato, jakie to teraz świetne, z tą Unią. Praca jest i w ogóle, nie ma paszportów, możesz sobie jechać przez inne kraje, jak przez nasze miasta! Bogdan pracuje u Niemców, na legalnie, jest ubezpieczony, wszystko bezpiecznie, nikt mu nie zabroni. Nie tak, jak jeszcze kilka lat temu chłopcy jeździli. Co zasuwali na czarno, oszukiwali ich na pieniądze, i jeszcze bali się, że ich deportują! Bogdan dobrze zarabia, wysyła nam pieniądze, stać nas na więcej.
- No tak, no racja, Anetko. Lepiej wam się powodzi. Ale czy rodzina powinna być oddzielnie? – pyta Wanda, gładząc wnuka po jasnych włoskach.
- Święte słowa! – zgadza się ojciec. - Tak, wy wszyscy narzekacie na ten kraj, wyjeżdżacie, niby za pracą, i co? Rodziny się rozsypują, sieroty europejskie się tworzą, i tyle! Myślicie, że ja to gazet nie czytam? Telewizji nie oglądam?
- Ty to od razu od najgorszej strony wszystko widzisz, słowo daje! – irytuje się Anetka – Pewnie, że wolałabym mieć męża przy sobie, żeby rodzina razem była! Ale co ja poradzę na to, że u nas roboty nie ma? A człowiek musi z czegoś żyć!
- Macie ziemię, z niej możecie żyć! – huczy ojciec.
- Ziemię mamy, a jakże. Tyle, że jak utrzymywaliśmy się z ziemi, to ledwo nam na opał starczało na zimę, dzieci donaszały po sobie ubranka, a ja często nie miałam pieniędzy nawet na PKS do Komańczy, żeby na targ pojechać w piątek!
- Zależy, co dla kogo jest najważniejsze. Być, czy mieć. – stwierdza ojciec, patrząc na Anetę. Tym podsumowaniem zakończyłby temat, ale przyuważył ironiczny uśmiešek, i znów ruszył do ofensywy – Pewno, że z ziemi wyżyć trudno. Ja to wiem najlepiej. Zawsze tak było. Ale ojcowizna to coś, czego wyrzec się nie wolno. Tak, jak nie wolno wyrzec się swoich ojców, i swojej ojczyzny. Czy wy, młodzi, rozumiecie chociaż sens tego słowa? *Ojczyzna?* ...
- Jezu! Tato! Jeszcze „Rotę” zacznij klepać! – mruczy Aneta.
- Większość z nas, młodych Polaków, kocha ojczyznę. Ja uważam, że patriotyzm istnieje i w naszym pokoleniu. – odzywa się ze swego kąta Adam.
- Och! Nie wątpię. Tyle, że jest różnica między waszym, a naszym patriotyzmem. Wasz patriotyzm istnieje, dopóki jest wam potrzebny. Albo raczej: dopóki posiadanie go wam nie zawadza. – stwierdza ojciec.
- Więc uważa pan, że traktujemy ojczyznę jakoś – nie wiem – wybiórczo? – dopytuje się Adam, nieco zdumiony.
- Dokładnie tak uważam. – zgadza się – Może i kochacie swój kraj. Podoba się wam, szczególnie teraz: jak możecie sobie jeździć, i nie wstydzicie się, że musicie używać paszportu tam, gdzie inni nie muszą. Ale cały czas czujecie się gorsi od Niemców czy Anglików. Kochacie Polskę, ale patrzycie na nią z góry!
- Nie uważam, że tak jest! – oponuje Ewa.
- Zresztą, tato, nie uogólniaj. Nawet, jeśli niektórzy tak myślą, to nie wszyscy. – protestuje.
- Ale większość! – woła ojciec - Zresztą, nie o to mi chodzi. Ciągłe odchodzimy od tematu! Chodzi o to, że kochacie kraj, ale nie jesteście w stanie się poświęcić dla niego.

- Myśli pan, że gdyby była wojna, nie walczylibyśmy? Ja na pewno bym walczył! – woła Adam, ostatni człowiek, zdolny do jakichkolwiek poświęceń. Prawie w portki robił przed wojskiem i poszedł na pierwsze lepsze studia, żeby przed poborem uciec.

- Co ja myślę na ten temat, to już inna sprawa, nie istotna teraz... Chodzi mi o inne poświęcenie. Nie tak... spektakularne. Chodzi o codzienność, o takie, że tak powiem, bohaterstwo codzienności. Teraz, gdy łatwiej jest zarobić gdzie indziej, poza granicami, wyjeżdżacie. Nie umiecie, nie chcecie zrezygnować z większych pieniędzy, na rzecz obowiązku.

- Jakiego znów obowiązku? – irytuje się Aneta.

- Obowiązku wobec, na przykład, swojej ziemi. – ojciec patrzy na nią poważnie – Jest coś takiego, właśnie coś takiego, jak obowiązek wobec swojej ziemi. To, co na początku mówiłem – *ojcowizna*, czyli ziemia ojców. Mnie wstyd by było, żeby ziemia, na której moi ojcowie pracowali, której poświęcili życie, żeby ta ziemia leżała odłogiem. Bo ja chce mieć łatwiej i lepiej. Może oni też chcieli, i może mogli. Ale wytrwali na posterunku.

Zapadła cisza.

- Dorosłość właśnie na tym polega. Na odpowiedzialności. - głos ojca jest cichy.

- A czy mój mąż nie postąpił odpowiedzialnie, wyjeżdżając do pracy, by utrzymać rodzinę? No powiedz, tato: czy to nie było odpowiedzialne?

- Ależ, córciu, ty nadal mnie nie rozumiesz! Ja mówię o wartościach. Zresztą: wartości nie da się przekazać słownie. To, co najważniejsze, czerpiemy nie ze słów, tylko z czynów. A dla rodziny ważniejszy niż dostatek, powinna być jedność, obecność, wsparcie w codziennych kłopotach. Wy nie umieraliście z głodu, by trzeba było jechać za chlebem. Po prostu szukaliście ułatwień. Mam nadzieję, że wyjdą wam one na dobre. Jak na razie tak nie jest. Pamiętaj, że im dłużej dzieci są bez ojca, tym dla nich gorzej.- ojciec, nieco zirytowany, wstał.

A ja poczułam, jak brakowało mi tych dyskusji.

Nie mogłam w nocy spać, strasznie duszno w pokoju było. Na sąsiednim łóżku, przez tyle lat należącym do Anetki, posapywała Ewa, z twarzą wtuloną w poduszkę.

Od godziny przewracałam się z boku na bok, a sen nie przychodził.

Ciągle myślałam o tacie.

Jakoś tak nie mogłam przestać.

Może przez te jego wywody przy kolacji. Mówił z takim przekonaniem! Właściwie nawet nie liczyło się, że mówił z sensem, chodziło o to, że...

No właśnie. O co chodzi?

Nigdy z nim nie rozmawiałam właściwie.

Zawsze był taki tradycyjny aż do bólu, nudny, uparty i apodyktyczny! Te jego poglądy - na rodzinę, na życie, na obowiązki - „obowiązki względem ojcowizny”. Chryste! Kto tak mówi w dzisiejszych czasach?

No ale dobra, niech tak myśli, uważa i postępuje. To nawet pasuje do jego zwalistej, wąsatej postaci prawdziwego chłopca. Za dziesięć lat mógłby Borynę zagrać. Tylko to wszystko jakoś nie przystaje do siebie. To znaczy – do siebie pasuje, nie pasuje za

to do tego, co Wanda mówiła o ojcu. Ojciec, który nienawidził wsi, i chciał w mieście mieszkać, ale śmierć dziadka pokrzyżowała jego plany? Możliwe to? Nie, już sama nie wiem.

Nie mogę dłużej wyleżeć w tym łóżku, łykając powietrze gęste od duchoty. Z cichym plaśnięciem stawiam bose stopy na podłodze, i przechodzę przez pokój, zalany drżącym, księżycowym blaskiem. W kuchni też jest duszno. Nalewam sobie tylko szklankę mleka, i wypijam ją duszkiem. Przypomniałam sobie radę Adama, żeby poszukać wśród ważnych dokumentów. Może i tak. Tylko, cholera, dokumenty rodzice trzymają w swojej sypialni – malusieńkim pokoju, przerobionym ze spiżarki. Ojciec chowa tam wszystkie ważne papiery, łącznie z rachunkami. Pod tym względem jest bardzo pedantyczny. Tu, w kuchni, Wanda tylko stare kartki świąteczne przechowuje, jakieś pocztówki z Ameryki, od swojego brata, no i nasze laurki.

Włączam światło – małą lampkę o różowym abażurze, i cicho otwieram szufladę białego kredensu. Tutaj wszystko zawsze było.

Pamiętam, jak lubiliśmy razem z Wandą porządkować te wszystkie pocztówki i rysunki, i robić „wystawkę” – najładniejsze wkładać za szkło. Ta wystawka to była bardzo poważna sprawa! Ileż było kłótni o to, która kartka tam zawiśnie, i w jakiej kolejności! W zimowe, długie wieczory prawie codziennie wymienialiśmy „eksponaty”, latem natomiast, czy wiosną, zdarzało się, że te same kartki przez kilka miesięcy wisały, bo zbyt zajęte harcowaniem po dworze byliśmy.

Potem, gdy dorosiliśmy, za stare i poważne byliśmy na takie zabawy. Ale Wanda nadal robiła te swoje wystawki, mieszając stare i nowe kartki, czasem nawet znajdowały się wśród nich te ode mnie, przysyłane na dzień matki, czy urodziny... Z wystawką było trochę jak z ubieraniem choinki – w dzieciństwie czekałam na to od października, zbierając papierki i sreberka, by w adwencie produkować z nich łańcuchy i ozdoby. Pamiętam, jak siedziałyśmy tu, pod oknem, i wycinałyśmy kółka, narysowane wcześniej przez Wandę. Anetka się denerwowała, bo, jako młodszej, wszystko jej bardziej koślawo i niestarannie wychodziło.

A potem, im byłam starsza, tym mniej mi się chciało.

Nawet tradycyjne ubieranie choinki wydawało mi się obowiązkiem.

I pamiętam ten rok, gdy Wanda sama ubrała choinkę, bo ja i Anetka siedziałyśmy i oglądałyśmy telewizję. Rano pytała, kiedy będziemy choinkę ubierać, my ciągle mówiłyśmy, że potem, potem, i w końcu sama ubrała. Weszłam do pokoju, a ona wieszala ostatnie łańcuchy. Sama. Tak jakoś dziwnie mi się zrobiło wtedy. I nieprzyjemnie.

Czy zawsze byłam złym człowiekiem?

Ostrożnie wyjmuję z szuflady wszystkie pocztówki i rysunki, gromadzone przez lata. Tyle wspomnień... O! Ta jest zabawna, pamiętam, jak w szkole ją robiłam, na zajęciach z plastyki! Kartka Bożonarodzeniowa, z wielkim bałwanem, wysmarowanym klejem i obsypanym tłuczona bombką.... Kartka nadal pachnie klejem, a gdy podnoszę ją do góry, fragmenty brokatowych szkiełek osypują się, znacząc moje dłonie migotliwym pyłem. Tutaj elegancka, czarno – biała kartka, kupiona przeze mnie w jakieś warszawskiej galerii i wysłana ojcu na poprzednie

urodziny. Kosztowała dwadzieścia pięć złotych, nawet pamiętam. Myślę sobie, że wcale mu się nie spodobała. Pasuje zresztą do pozostałych jak pięść do nosa.

A to laurka na dzień matki, Anetka ja zrobiła w szkole, pani na pewno pomogła wyciąć ją w kształt serca. Pani zawsze pomagała dzieciom, chciała, żeby wszystko ładnie wyglądało. Laurki stanowiły lwią część zgromadzonych tu szpargałów. Laurki duże i małe, udane i szkaradne. Wanda żadnej nie wyrzuciła.

Najpiękniejsze były chyba te jeszcze z czasów, gdy nie umiałyśmy pisać, i zamiast równych, bardzo szkolnych liter, na kartkach widniały same rysunki.

Wśród dobrze znanych laurek, zauważam nowe, nieznanne mi i odczytuje podpisy, wykonane dorosłą ręką. No tak, powinnam przecież się domyślić - to od dzieci Anetki! Dopiero teraz dociera do mnie, że Aneta już przeszła do innego świata, nieznanego mi. Nie należy już do świata wykonawców laurek, lecz do tych, którzy laurki dostają.

Pocztówek nie było wiele – kilka od Romka, brata Wandy, który po dziewięćdziesiątym roku wyemigrował do Stanów (najpierw pojechał do pracy, potem ściągnął do siebie żonę i dzieci, i już zostali tam). Niektóre kartki były ode mnie – przez pięć lat studiów nazbierało się trochę. Czytam teraz, o czym pisałam rodzinie. Nic ciekawego – jakieś banalne życzenia, które do byle znajomego mogłabym wysłać. Czasem w post scriptum coś bardziej osobistego.

Znalazłam kilka kartek od ciotki Anety z Leska, przysyłanych na święta i urodziny. Nic interesującego. Zwykłe życzenia, pozdrowienia, typowe formułki..

Jak zawsze, to, co najciekawsze, ukryło się w post scriptum. Dopiero jednak przy kolejnej kartce zwróciłam na to baczniejszą uwagę. Szybko przejrzałam wszystkie pocztówki od ciotki Anety. W tych pochodzących z czasów dzieciństwa powtarzało się jedno imię, które... Może to nic, szczegół, bez znaczenia. Jeszcze raz przeczytałam trzy wybrane kartki.

Jedną z nich ciotka przysłała Anetce – a właściwie ojcu, z okazji czwartych urodzin Anetki: *P.S: Szkoda, że nie mogłam ucałować mojej chrześnicy. Spotkałam znów R., pytała o was, a szczególnie o dzieci. Powiedziałam, żeby lepiej, żeby dała już spokój. Mam nadzieję, że nie masz żalu.*

Kartka do ojca, na jego trzydzieste piąte urodziny, ja miałam wtedy jakieś osiem – dziewięć lat:

PS. Rosa przyszła, oglądaliśmy zdjęcia. Powiedziała, że Ania miała piękną sukienkę z okazji Pierwszej Komunii. Bardzo jej było przykro, że nie mogła wtedy być z nami.

Czy R. i Rosa to ta sama osoba?

Kartka do ojca, z okazji jego czterdziestych pierwszych urodzin:

P.S . Rosa dzwoniła, pytała o dzieci i mówiła, że jakby trzeba było wam pieniędzy, na szkołę dla Ani, to ona pomoże. Grzecznie jej podziękowałam. Nie ma wobec nich żadnych obowiązków.

Rosa. To nie jest imię, chyba, że jakieś latynoamerykańskie. Rosa – Weronika. Zupełnie niepodobnie.

Nie wiem.

Czy możliwe, że ojciec i ciotka nadali mamie jakiś przydomek, dla niepoznaki? Cholera ich wie. Może.

Rozboliła mnie głowa z tego wszystkiego. Nic nie ma sensu. Ułożyłam laurki w jeden stosik, pocztówki w drugi, i wpakowałam do szuflady. Oczywiście, jak zawsze, gdy robiłam coś szybko, coś musiałam popsuć. Szuflada nie chciała się zamknąć, bo upychając w niej kartki, przesunęłam wyściełający ją papier. Zniecierpliwiona, znów musiałam wszystko wyjmować. Tym razem wyjęłam także arkusz papieru, by porządnie nim wymościć szufladę.

Pod papierem coś było. Cztery listy.

Wiedziałam, od kogo. Chociaż na kopercie nie było nazwiska nadawcy. Takie rzeczy się wie, a może raczej – czuje.

Niespodzianką było tylko imię adresata.

Wanda Stajarska, Mików 6...

Listy były otwierane i czytane po wielokroć.

Na początku nie chciałam ich czytać, to znaczy – chciałam je przeczytać, ale powstrzymywały mnie zasady, w jakich byłam wychowana. U mnie w domu nie czytano cudzych listów.

Ale u mnie w domu też ponoć gardzono kłamstwem. Wanda skłamała mówiąc mi, jeszcze dziś zresztą, że matka nigdy nie pisała. Postanowiłam, że tylko zerknę na początek pierwszego listu. Data na stemplach pocztowych były w miarę wyraźne. Zresztą, listy były też datowane przez matkę na marginesach. Ciekawa byłam, czy ojciec o tych listach wie. Pierwszy z nich napisany został chyba tuż po odejściu matki.

Cześć!

Pewnie dziwisz się, że piszę akurat do ciebie, ale nie chcę dręczyć Artura, wiesz sama, jakby to przeżywał. Mam nadzieję, że wszyscy jesteście zdrowi, a dziewczynki pięknie rosną. Nie mam prawa o nic prosić, wiem o tym, ale mimo wszystko – proszę – opiekuj się nimi wszystkimi dobrze.

Ja jakoś sobie radzę, na razie znów w tamtej zakładowej stołówce robie, ale nie wiem, jak długo w Sanoku zostanę. Na pewno do rozwodu to będę, przynajmniej tego kłopotu mogę A. oszczędzić. Wiem, że będziesz dobrą matką dla nich, i dobrą żoną. Teraz już nie mam żalu.

List nie był podpisany. Zaadresowany był na panięskie nazwisko Wandy, ale na adres naszego domu.

Następny pochodził z następnego, 1990 roku, Wanda nosiła wtedy już nazwisko ojca. Tak w każdym razie z adresu na kopercie wynikało.

Cześć!

Pewnie nie powinnam pisać, ale ciekawa jestem, co tam u nich.

Ja jakoś sobie radzę, w Rzeszowie pracuję, może wkrótce wyjdę za mąż, jak wszystko jak trzeba z jego rozwodem się ułoży. Na razie nie narzekam, dobrze nam, obydwójce prace mamy, chociaż on się w tej fabryce marnuje, taki zdolny jest przecież.

Za dziećmi jednak tęsknie, bardzo. Chciałabym je zobaczyć, chociaż raz. Aneta mi to odradziła, podobno uważa, że lepiej nie przyjeżdżać do Mikowa żebym dała wam

spokój. Sama nie wiem, trudne to.

Mam nadzieję, że tobie i Antkowi dobrze, zawsze taka zakochana w nim byłaś, on w tobie chyba też. Nie powinnam była wcale do Mikowa przyjeżdżać, nigdy do was nie pasowałam.

Uściskaj je ode mnie.

Trudno tak żyć, nie widząc, jak rosną.

Potem było kilka lat bez listu. Cisza aż do 1996 roku.

Cześć!

Nie odzywałam się długo, nie chciałam was niepokoić.

Teraz jednak myślę, że trzeba coś postanowić, jeśli idzie o przyszłość dzieci. Dlatego napisałam. Podobno bardzo zdolne są, pewnie po Arturze to mają. Chciałabym, żeby jakieś szkoły zrobiły, dobrze jest mieć wykształcenie, ja nie mam, i żałuję bardzo tego.

Ja wiem, że wam dobrze w tym Mikowie, i że Artur nie będzie chciał córek od siebie opuścić, ale chciałabym, żeby miały szansę na inne życie.

I dlatego pisze do ciebie, i proszę ciebie, żebyś przekonała Artura, by posłał dziewczynki do szkoły. Proszę cię, Wanda. Wiem, że on ciebie kocha, i posłucha ciebie.

Nie wiem, jak tak z pieniędzmi stoicie, mam nadzieję, że dobrze. Ja w każdym razie odłożyłam trochę grosza, i w razie czego, to pomogę, byle tylko one do szkoły poszły, dalej się uczyć. Proszę, zastanów się, co o tym myślisz. Jeśli będziesz miała do mnie ochotę napisać, to adresuj na Pracownię ikon świętego Łukasza w Sanoku. Wrócę tam na pewno niebawem. Na razie ciągle w rozjazdach jestem, wiesz, jak jest.

Pracownia Ikon Świętego Łukasza! To było coś, to był prawdziwy, dobry trop! Został jeszcze jeden list. Ręce tak mi się trzęsą, że nie mogę go z koperty wyjąć.

Cześć!

Mam nadzieję, że u was wszystko dobrze. U mnie niestety nie, znowu nie mam pracy, coraz częściej żałuję, że nie rozwinęłam tych talentów, które miałam, może teraz bym żyła inaczej. Ale nie tego najbardziej żałuję, wiesz o tym zresztą najlepiej ty.

Chciałabym, żebyś kiedyś przeczytała moim córkom list, co razem z tym wysłałam. To będą słowa dla nich. Nie chce się z nimi spotykać, w głowach im mącić, ale dobrze by było, żeby cokolwiek o mnie wiedziały.

Nie będę z niczego się tłumaczyć, bo nie mam nawet jak. Ale przeczytaj im list.

Rozłożyłam osobną kartkę z wyraźną adnotacją „Do Ani i Anety”

Wychowałam się w sierocińcu, domu dziecka, czy jak to nazwać, i nie miałam nikogo bliskiego, tylko jedną przyjaciółkę, też była tam wychowana. Do teraz pomagamy sobie. Poznałam waszego ojca w Sanoku, przyjechał szkołę wieczorową robić, i pracował w fabryce. Ja w tej fabryce też pracowałam, na stołówce. Wszystko się dobrze nam układało, pobraliśmy się w Sanoku, nikogo z rodziny na ślubie nie

było, bo nikt nie wiedział, i to zła była wróżba. A nad urzędem czatowały wrony, dokładnie sześć, i od razu wiedziałam, że wieszczę to sześć wspólnych lat. Wasz ojciec mnie wyśmiał, bardzo się ze ślubu cieszył.

Między nami dobrze było, póki w mieście żyliśmy. Kiedy przenieśliśmy się do Mikowa, wszystko się popsuło. On się męczył, i ja. Ktoś, kto raz posmakował życia poza zamknięciem, zawsze będzie szukał wolności. A z drugiej strony, kto raz w górach zamieszka, ten za nimi będzie tęsknił. W nim dwie osoby były.

Uciekłam od was, bo nie chciałam być matką. Za wcześnie to na mnie przyszło, zanim życie poznałam. Chciałam podróżować, poznawać ludzi, coś swojego mieć, a ugrzęzłam w Mikowie.

Wasz ojciec coraz bardziej upodabniał się do ludzi z stamtąd, ja obca byłam. Zimy, które odgradzały nas od świata, przerażały mnie. Zresztą, my ciągle byliśmy odcięci od świata. Po śmierci waszej babci mieliśmy przenieść się do miasta, ale on zmienił zdanie. Wtedy nie wiedziałam, czemu, ale teraz wiem, on z dala od niej nie mógł żyć. Wiecie, on nigdy mnie nie zdradził, nie był z tych, ale widziałam w nim całym, że myśli o innej i to takie okropne było. Prosiłam go, byśmy wyjechali, ale on nie chciał ziemi zostawić. Ja nie mogłam tu żyć. Wiedziałam, że do końca będziemy małżeństwem, ale z czasem on zacznie do innej chadzać, chociaż honorowy jest, to przecież tylko męzczyzna.

Nie mogłam tak dłużej. Wiedziałam, że nie nadaje się na matkę. Nie nadaje się, nie umiem. Ale kochałam was bardzo, tylko nie umiałam tak, na co dzień. I dlatego, gdy wyjeżdżałam, zostawiłam was z ojcem i Wandą. Ona nadaje się na matkę o wiele bardziej, niż ja.

Często o was myślę, i jestem z was dumna.

Mama.

Złożyłam list. Zagadka za zagadką. Same tajemnice.

- „Pracownia ikon świętego Łukasza” – czyta stylizowany szyld Ewka – To chyba to!

- Nie sądzę, żeby w Sanoku była inna pracownia malowania ikon! – stwierdza swoim lekko nosowym głosem Adam

- Ikony się piszę, nie maluje – poprawiam go automatycznie. Adam patrzy na mnie, nieco urażony.

Pracownia ikon mieściła się w zwykłym mieszkaniu. Nikt z nas się tego nie spodziewał, i przez chwilę myśleliśmy, że coś nam się pomyliło, i weszliśmy nie tam, gdzie trzeba.

- Proszę, niech państwo wejdą. – bardzo zniszczona kobieta, na oko koło pięćdziesiątki, wyszła do maleńkiego przedpokoju, i zaprosiła nas dalej. Weszliśmy do pokoju, małego i jasnego, na ścianie którego wisało kilka ikon. Niektóre z nich były piękne. Inne – dość nieudolne.

- Nie wszystkie ja namalowałam. – mówi kobieta, nerwowo przeczesując krótkie, rozjaśnione włosy.

- Są bardzo ładne. – kłamie. Nie wszystkie były ładne. – Ta ze świętym Jerzym i smokiem jest piękna.

- To akurat nie ja namalowałam.

- Namalowałam, nie: napisałam. – mruczy Adam. Zawsze był okropnie małostkowy, i w nieskończoność przeżywał każdą rzekomą nawet zniewagę.
- Teraz pracuje nad tym – kobieta pokazuje dopiero zaczęty obraz – To będzie wniebowstąpienie. Znalazłam tę ikonę w Internecie, i ją kopiuje.
- To musi być trudne. Słyszałam, że w ikonach bardzo ważne jest trzymanie się kanonu. – mówię, oglądając obrazy – Jest jakaś zasada dotycząca kolorów szat, twarzy, i tak dalej, prawda? – pytam.
- Malarka patrzy na mnie, nieco bezradnie. – Ja tam nie wiem dobrze, to znaczy. Czytałam też o tym, ale wie pani – ja od niedawna się zajmuję ikonami. Można powiedzieć, że odziedziczyłam tą pracownię... Wcześniej ktoś inny tu malował. Tutaj często ludzie się zmieniają.
- Jak to? – pytam ostrożnie. – A kto był tu wcześniej, przed panią?
- Mieszkało tu młode małżeństwo, razem malowali, ale ciężko z tego wyżyć, wrócili do siebie, do Warszawy, dwa lata temu, a ja na ich miejsce przyjechałam. To jest tak, że mieszkanie i pracownia to jedno. Jak ktoś rezygnuje z pracy – musi się wyprowadzić.
- No tak, to jasne. – przytakuje.
- A państwo może są zainteresowani kupnem...? – pyta kobieta z nadzieją. Z żalem potrząsam głową.
- Nie mamy pieniędzy, niestety! – mówię i naprawdę mi przykro.
- Ach, jak wszyscy. Co za czasy, swoją drogą. – kobieta potrząsa głową. Jest strasznie chuda. Spodnie ma ściśnięte paskiem, inaczej spadły by z niej. Przez grubą tkaninę jeansów sterczą kości. Mimo, że jest ciepło, ona ma na sobie gruby blezer a pod nim bluzę. Wydaje się chora, ale to niekoniecznie jest choroba trapiąca ciało.
- To musi być fascynująca praca! – woła Ewa. Jest zachwycona pracownią.
- Takie zajęcie dla cierpliwych, i nie dla młodych raczej. Tutaj, poza sezonem, pies z kulawą nogą nie zajrzy, chociaż to miasto. – kobieta zapala papierosa. – Też bym tu nie przyjechała, ale spotkała mnie straszna tragedia – po jej policzkach zaczynają płynąć łzy. Przełykam ślinę. Czuje się niezręcznie, jak zawsze w takiej sytuacji nie wiem, co robić, i daremnie szukam słów. Wzrokiem próbuje dać sygnał Ewie, ale jest zbyt zajęta podziwianiem malowideł. Adam z pedantyczną dokładnością porównuje wydrukowane zdjęcie z ikoną, malowaną przez kobietę. Zapewne już znalazł kilka niedociągnięć, i mogę tylko mieć nadzieję, że nie zacznie ich komentować.
- Bardzo mi przykro... - niepewnie poklepuje malarkę po ramieniu. Podnosi na mnie smutny wzrok, jej oczy są bardzo podkrążone, cienie kładą się aż na policzki.
- Chciałabym pani coś mądrego, albo pocieszającego powiedzieć, ale nie umiem – wrywa mi się, gdy ona ociera łzy.
- Ach, nie ma co pocieszać, takie to życie było mi pisane, i już. – wyciera nos i w mgnieniu oka się uspokaja. Patrzy za okno – Cieszę się, że znalazłam to miejsce. Przyjaciółka mi je poleciła. Ona też przeczekała tu kiedyś gorsze czasy!
- I tak po prosu panią przyjęli do tej pracy? – jestem trochę zdziwiona, i od razu zaczynam snuć wizję, że może i mnie...
- Pewnie by mnie nie przyjęli, tutaj ludzie po szkołach plastycznych zawsze byli i malowali. Ale moja przyjaciółka była jedną z założycielek tej pracowni. I dlatego

sama może wybierać, kto tu zamieszka. A moje ikony nie są gorsze od innych.

- A ta pani przyjaciółka... Dawno temu tu mieszkała, i w ogóle? – pytam ostrożnie, czując, jak mocno łomocze mi serce.

Malarka patrzy na mnie, przenikliwie – Oj, no dawno. Ta pracownia jest tu od... Zaraz... No od dziewięćdziesiątego roku. Tuz po zmianie ustroju ją założyli, ona, i jej przyjaciel.

- To we dwoje ją zakładali? Byli – to znaczy: są artystami, tak? – dopytuje się.

Kobieta wzrusza ramionami – Trudno mi powiedzieć, czy byli takimi artystami, pani wie, po szkołach. Ja nie wiem. No ale malują oboje, to znaczy: malowali, jak żyli.

- Zmarli...? – szepcam. Ostatnia nadzieja na spotkanie matki topnieje.

- On zmarł, na raka płuc, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Szkoda go, to zdolny człowiek był. Ta ikona, no ta ze świętym Jerzym to jego dzieło, nie na sprzedaż zresztą. Tak sobie zawsze myślę, że święty Jerzy chroni to miejsce, i on powinien być jego patronem... - uśmiecha się lekko – A ona żyje, ale wyprowadziła się stąd.

- Dawno? – wrywa mi się. Malarka marszczy brwi. Chyba moje pytania stają się zbyt natrączywe, ale nie jestem w stanie ugryźć się w język. Czuję, jakbym zbliżała się do celu, i niecierpliwie się, jak pies, łapiący trop.

- Dawno już tu nie mieszka, po śmierci Damiana się wyprowadziła, i inni w pracowni mieszkali. Wieści o tym miejscu roznosiły się wśród młodych artystów, wielu tu malowało, aż się nie mieścili czasem! Jedni przekazywali drugim, i tak to szło.

- Niesamowite! No ale tak kiedyś było, zanim Internet się upowszechnił. – niespodziewanie podchodzi do nas Adam. Nie patrząc na mnie przyciąga sobie krzesło i siada na nim, opierając łokieć o biurko.

- Rosa się z tego cieszyła, że tylu ludzi tu przyjeżdża, że chcą malować, i tu zostać. Rosa to ksywa mojej przyjaciółki, jeszcze z dawnych czasów. – wyjaśnia kobieta, zapalając kolejnego papierosa. – Byłam jej ogromnie wdzięczna, gdy mi zaproponowała to miejsce. Ja wiem, że nie przyciągam tak ludzi, jak młodzi, nie jestem miłym kompanem. Ale życie mi się załamało... - jej głos także się załamuje. Niespodziewanie zaczyna znów płakać, pochylając kędzierzawą głowę – Tak bardzo go kochałam, i gdy odszedł, to całe moje życie zabrał... - te słowa nie są dla nas. Nie chce wykorzystywać jej kryzysu, by wyciągać informacje. Nie chce też słuchać o jej tragedii, za słaba się czuje, by podźwignąć kolejny dramat. Porozumiewawczo patrzę na Adama, i równocześnie kierujemy się w stronę wyjścia. Już jesteśmy na korytarzu, gdy słyszę głos Ewy – Och, no niech pani nie płacze, tak bardzo jest mi pani żal! – odwracam się, i widzę, jak Ewa siada obok artystki, i obejmuje ją. W tej dziewczynie są nieprzebrane pokłady współczucia.

Adam potrząsa głową, zrezygnowany. Mam ochotę powtórzyć jego gest.

Zamiast tego wracam do pokoju, w którym Ewa przytula malarkę, i klepie ja po wstrząsanych łkaniem plecach. – Wie pani, czasem tak w życiu bywa, że nic się nie układa, a nieszczęścia spadają, jedno za drugim!

- Tak właśnie u mnie jest! – chlapie kobieta.

- Niech pani nie traci nadziei, może los się odwróci! Zasłużyła pani na szczęście!

- A co ty możesz wiedzieć! – warczy malarka.

Ewa, urażona, zamilkła.

- Skąd możesz wiedzieć, na co zasłużyłam!

- Poza tym, człowiek rzadko dostaje to, na co zasłużył. – mówi Adam dobitnie.

- Masz racje, młody człowieku! Ale obawiam się, że ja dostałam to, na co zasłużyłam! – mówi przewrotnie, po czym głośno wyciera nos. - Chcecie może napić się herbaty? –proponuje. Patrzymy po sobie, niepewni.

- A może coś mocniejszego? – kobieta wyciąga zza tapczanu napoczęta flaszkę. – Zamknij no drzwi na zamek, chłopcze! – mówi do Adama, który posłusznie wstaje. Ta kobieta nie powinna nigdy pić, a w każdym razie – nie przy obcych ludziach. Z niesmakiem patrzę, jak wlewa w siebie kieliszek za kieliszkiem, snując bełkotliwe opowieści. Nawet Ewka nie dała rady wspierać jej i pocieszać, zresztą, artystka całe swoje zainteresowanie przerzuciła na Adama, obłapiając go przy każdej możliwej okazji.

Przyglądam jej się ukradkiem: kiedyś rzeczywiście musiała być całkiem ładna.

Teraz była po prostu bardzo zniszczona.

Włosy, spalone rozjaśnianiem, wyglądały jak zrobione z pomarańczowej waty, oczy były podpuchnięte, a twarz obrzękła. Wydawała się pokurczona, chora, no i ta straszna chudość! Przykro było na nią patrzeć. Była bardzo nieszczęśliwa, od razu to się rzucało w oczy.

- Moje życie – płacze kobieta – Od początku było nieudane! Nic, nic mi się nie udało, a teraz będę sama, jak ten pies... Nawet Rosa jest na mnie zła, krzyczy na mnie, że pije! Ale jak tu można nie pić, kiedy jedyny człowiek, którego kochasz, umiera? Na moich rękach, w szpitalu... Najpierw mu nogi amputowali, a potem... Mówili, że to przez chłanie, że sam się do tego doprowadził. Mój biedny Sławek! Tyle lat razem, taki był dobry dla mnie... A teraz umarł, i zostawił mnie samą! Zostałam sama, jak palec.– lzy spływają równymi paciorkami po jej twarzy.

Imię Rosa elektryzuje mnie. To nie może być przypadek! Kilka razy próbuje coś powiedzieć, ale nie udaje mi się przerwać tego monologu. Nawet Adam jest bezradny wobec takiego potoku słów.

- Tak, to przykre! A wie pani, że może nam pani bardzo pomóc? – mówi Ewa, której udało się wstrześcić do rozmowy w chwili, gdy artystka wypija kolejny kieliszek - Właściwie to przyszliśmy tu, bo kogoś szukamy.

- Mój Boże! I myślicie może, że ja jestem ubek, który wam wszystko wyśpiewa, gdzie kogoś znaleźć, co? Dobrze sobie! – kręci głową, zniesmaczona - A właściwie, to kogóż szukacie? – pyta bez zainteresowania.

- To zabrzmia głupio, ale nie jesteśmy pewni. Chyba szukamy Rosy, pani przyjaciółki. Wolelibyśmy nie mówić, o co chodzi. – dyplomatycznie tłumaczy Adam.

- Ha! Szukacie Rosy! A to dobre! – śmieje się chrapliwie kobieta. Jest mocno pijana. Pewnie zresztą wypija sporo, zanim jeszcze przyszliśmy – Szukać Rosy, to jak szukać wiatru w polu. Nikt nigdy nie wie, gdzie jest. Znika! To tu, to tam... Jak wiatr w polu... - malarka znów zdaje się pograżać w swoich myślach. – Ja znam Rosę całe wieki. Od dziecka się znamy, razem się wychowałyśmy, jak siostry jesteśmy! Nierozłączne, i nawet podobne byłyśmy, kiedyś, obydwie bardzo piękne! Uwierzyłbyś, chłopcze, że kiedyś piękna byłam? – rzuca Adamowi powłóczyście

spojrzenie. – A tak, byłam piękna, piękniejsza, niż twoje koleżanki! – Bez urazy, dziewczyny! – rzuca w naszą stronę. – Jak szłam ulicą, to każdy się obejrzał! Ja i Rosa byłyśmy najpiękniejsze w Sanoku, bez dwóch zdań!

Nalewna nam jeszcze po kieliszku.

- Mili jesteście, i chciałabym wam pomóc, ale nie mogę! – ociera usta.

- Nic się nie da zrobić...? – Adam pochyla się w jej stronę, patrząc w jej załzawione oczy.

- Oj, chłopaku, dla ciebie dużo bym zrobiła, ale to, o co prosisz, nie leży w mojej mocy! Jak to się mówi: z pustego i Salomon nie przeleje! Nie wiem, gdzie teraz Rosa jest, ona ciągle się przeprowadza, ostatnio sobie ubzdurała, że w Gdańsku zamieszka, wcześniej była w Szczecinie. A jakoś, jak przyjechała tu ostatnio, to było albo przedtem, jak przeprowadzała się do Wrocławia, albo po Wrocławiu. Już mi się to miesza, naprawdę!

Zaczynam się zastanawiać, czy owa w ogóle Rosa istnieje. Po minach przyjaciół widzę, że i ich trapią podobne wątpliwości.

- Ciągle, ciągle ja nosi! Teraz jeszcze sobie ubzdurała, że chce swoją rodzinę odnaleźć, i tak jeździ, jak wariatka. Na co to komu? – pyta nas. – Ja tam dawno zapomniałam o jakiejś tam rodzinie. Dla mnie rodziną to był Sławek, nikt więcej. Nikogo, nikogo poza Sławkiem nie kochałam! – znów zaczyna szlochać.

- Pani wybaczy, ale musimy już się zbierać, zanim PKS nam ucieknie. – mówię, wstając.

- A idźcie, idźcie! Zostawcie mnie samą! – warczy. Gdy jednak widzi, jak wstajemy, łapie Ewkę za rękę. – No ale napijcie się, strzemiennego! – prosi. Posłusznie stawiamy na biurku kieliszki.

- Jeśli wam tak na tej Rosie zależy... - bełkocze – To może mogę coś dla was zrobić, niech no tylko myśli zbiorę. To moja przyjaciółka jest, jedyna! Uratowała mnie, ja prawie pod pociągami już byłam, a ona nowe życie mi dała, wtedy, dwadzieścia lat temu! – wyje kobieta. – Nie chce jej zdradzić, zrozumcie mnie!

Rozumiemy. Pijemy wódkę, na raz.

- Już wiem. – mówi, patrząc na Adama – Zostawcie mi swoje numery telefonu, i jakiś może adres? Jak Rosa zadzwoni, to jej przekaże, powiem, że byliście, i pytaliście o nią... Jeśli się zgodzi, i pozwoli, podam jej numer. Adresu nie znam.

Nie jestem w stanie zapisać niczego, za bardzo drżą mi ręce. Adam wrywa kartkę ze swojego notesu, i pisze swój numer, mój, i Ewy. A potem pisze mój adres. Patrzy na mnie pytająco, zanim zapisuje także moje nazwisko. A ja czuje ulgę. Tak trzeba.

- A może niech pani poda i swój adres? – proponuje Ewa – Miło by nam było czasem napisać do pani, jeśli nie będzie to kłopotem!

Kobieta uśmiecha się, i rumieni – Och! To bardzo miło! To podam, telefon sobie z tego folderu możecie przepisać, ja tam cyfr nie pamiętam. O! Adres też tu jest zresztą. A moje nazwisko to Figurska. Po drugim mężu, moim Sławku. Wiecie, to też jest zagadka, kiedyś ją zadawałam: jak to możliwe. Zagadka - ja to już cztery nazwiska w życiu nosiłam, a znałam trzy, a jedno było nieprawdziwe.. Tylko ta zagadka jakoś inaczej brzmiała, tak śmiesznie.

- Miała pani cztery nazwiska? – dziwi się Ewa.

- Ano cztery. Pierwszego nie znam. Nazwisko mi nadali, jak w sierocińcu byłam, ale to było właściwie już drugie, bo przecież po rodzicach musiałam się jakoś nazywać, nie? Tylko nikt nie wiedział, jak, bo mnie porzucili. Zaraz... Trzecie nazwisko, to po pierwszym mężu mam. No a czwarte to po Sławku.

Czuje mętlik w głowie, a wódka ścięła mnie z nóg. Nie pije dużo zazwyczaj. Ale dziś jest jakiś zaczarowany dzień. Coś w słowach tej kobiety...

- Napiszcie, jak wam się zachce, chociaż kartkę na święta! Podaj mi kartkę chłopczyku, to zapisze ci moje nazwisko, bo trudno, żebyś zapamiętał sam z siebie. Za stara jestem, żebyś chciał pamiętać –śmieje się gardłowo – O! Tu masz, doczytasz się? Figurska. Weronika Figurska.

To nie wódka tak mnie ścięła z nóg.

To prawda. Czuje, jak moje oczy robią się wielkie, jak spodki. Nie mogę oddychać.

... Tak naprawdę powinnam na tej kartce napisać chyba Weronika X – Mazur – Stajarska – Figurska. – chichocze, podczas gdy ja mnę w ręku inna kartkę, z jednym z nazwisk przy innym imieniu.

„Anna Stajarska Mików 6

36 – 543 Komańcza

woj. podkarpackie”

Może powinnam dodać coś więcej, uzupełnić swoje personalia:

...Anna Stajarska. Córka Artura i Weroniki.

Znalazłam cię, Mamo.

Mechanicznie wstaje z krzesła, i uśmiecham się słabo.

– Dziękujemy pani za gościnę, ale naprawdę musimy już iść. – słyszę swoje słowa, wypowiedziane bardzo spokojnym tonem. Widzę zdumione spojrzenia Artura i Ewy, zarumienionej prawie do łez.

- Chodźmy! – proszę, a oni posłusznie wstają.

Bez słowa idziemy przez pokój i korytarz, już w progu dogania nas Weronika

– Zapomnieliście zostawić kartki z waszym adresem! – woła.

- To już teraz nieważne. – odpowiadam, wychodząc na zalane słońcem podwórko.